

PO PREMIERZE „Azylu” w Teatrze Polskim

Zaklęte rewiry

Tytuł najnowszego spektaklu Krystiana Lupy może mylić. W programie reżyser zapowiedział opis „bractw słabości” i „utopijnej krainy”. Oglądamy studium pijackiej meliny, w której kreatur i szaleńców już nie stać na miłość

LESZEK PUŁKA

Spektakl Lupy można łatwo streścić. Grupa pijaczyn, życiowych rozbitków mieszka w przytułku. Są, byli lub będą pijani. Właścicielka schroniska Wasilisa (Halina Rasiak) trzyma ich żelazną ręką za pysk. Kocha się w Piepielu (Krzysztof Dracz), marząc, by zabił jej męża i żył z nią. W finałowej szamotaninie Piepiel strzela do Kostylewa. Bractwo wraca do wody.

Każdy, kto doświadczył choroby alkoholowej, wie, że na początku oplata człowieka jak delikatna pajęczyna, by – prędzej czy później – zdusić w nim wszelkie człowieczeństwo. Trudno z oparów absurdu wyprowadzić coś więcej niż zwierzęce pożądanie, moralność kanałii, intelektualną pustkę. Podczas trzech godzin spirytusowego seansu Krystiana Lupy widz musi sobie odpowiedzieć na dwa pytania: czy „na dzień”, jak na początku XX wieku nazwał schroniska dla bezdomnych Gorki, którego sztukę wrocławski spektakl przywołuje, znajdzie wiedzę o dojrzałości i czy pijacki mikrokosmos, zinterpretowany przez Lupa, to naprawdę azyl – tu swoista trawka z makulatury, stósów żelaznych piętrowych łóżek, szmat, folii i papierzysek, płynąca obok odgłosów życia. Trudne to – ani żadna z prawd, które słyszymy ze sceny, ani żadne z zachowań nie jest rewelacją większą niż rekonstrukcje Michała Fabusiwicza w telewizyjnym „997”.

Fani dawnych dzieł teatralnych Krystiana Lupy, ich klimatów, nastrojów smakowania obrazów i uczuć w „Azylu” nie odnajdą. Przez wiele kwadransów oglądamy w ostrym świetle, jakby padało z policyjnych reflektorów, monologi i dialogi mieszkańców schroniska, które trochę jak sanatorium w „Czarodziejskiej górze” Manna jest poza czasem i przestrzenią. Widzimy współczesne kostiumy, słyszymy dziką muzykę murzyńskich bębnow, ale wśród bełkotanych w malignie marzeń słyszymy o Syberii-krainie oczyszczenia. Bajki o wyraźnie XX-wiecznym rodowodzie



Henryk Niebudek (Łuka), Ewa Skibińska (Natasza) i Krzysztof Dubielówna (Bubina)

myśli społecznej – krainy szczęśliwości jak z Żeromskiego, z Gorkiego – okrywa błoto bardzo współczesnych przekleństw. Chyba nawet za wiele tego błota, by przebić się przez bełkot i zrozumieć, że nawiedzony Łuka (Henryk Niebudek), bajdurząc o Bożym miłosierdziu, właściwie pyta o współczesne prawo do eutanazji, że złodziej i morderca Piepiel (Krzysztof Dracz) dramatycznie usiłuje rzucić z siebie przekleństwo predestynacji.

Bo też Lupa zapomniat, że usadził nas w teatrze dramatycznym, gdzie aktorzy nie muszą wchodzić w trans, nie muszą obnażać siebie – jak to dzieje się w grupach czerpiących z religijnego rytuału. Ta inscenizacyjna omyłka powoduje, że Krzysztof Dracz czy Ewa Skibińska, sugestywni jako osoby cytowanego dramatu „Na dzień”, słaniają się, wchodząc na scenę, jakby tuż przed „Azylem” rzucili kilka ton koksu do piwnicy. Skibińską Lupa zmusił niemal pod sklepieniem sceny do studium choroby sierocy, Dracza do demonstracji tonów macho biorącego w pysk jak bohater kreskówki. I tak – sieroco się kiwając – demonstrują niepokładanie także inni bohaterowie: kapitalny w alkoholowym zamroczeniu Tatar Wojciecha Meczwałdowskiego, którego wyraz twarzy starczy za streszczenie sztuki, lecz sztuczny do bólu w scenie modlitwy. Żądłaca błazeńskim chichotem i czortu na pociechę grająca w warcaby Bubina Krzysztof Dubiel.

Lepiej było, gdy jak Aktor w znakomitej interpretacji Miłogosta Reczka, do brodnusznia Kwasznia Teresy Sawickiej czy przepity do szpiku kości Baron Wojciecha Ziemiańskiego prowadzili postać

wedle czytelnich reguł realizmu. Nuda wchodzi na scenę, gdy zaczynają się intelektualne szmoncesy, jak przebijanie Satina (Paweł Miśkiewicz). U Gorkiego fraza Satina „człowiek to brzmi dumnie” jest raczej oskarżeniem niż szyderstwem z Love Parade.

Uznaję powód wystawienia „Azylu” za interesujący, bo wszyscy przechodzimy kryzys tożsamości. Chwałę scenograficzny pomysł – przejmując swoistym bezczasem w oparach wody, ruiną przestrzeni, którą znamy. Sugestywne światła nocy są malarsko piękne – jak u Lyncha – nawet jeżeli nie rozumiemy, dlaczego zapada noc, dlaczego przez tę, a nie inną chwilę bohaterowie są „wyświetlani” z projektora na żelaznej kurtynie niczym w dokumentalnym filmie. Chwaląc także grę aktorów, muszę przyznać, że ani rewelacje Gorkiego, ani wplecione w tkanę spektaklu autorskie dialogi Lupy, nie mają tej siły, mądrości i piękna, co „Pod wulkanem” Lowry’ego czy niedawna „Heroina” Piątka. Brak w „Azylu” także naiwnej, lecz głęboko prawdziwej cudowności bohaterów „Wniebowziętych” Kondratiuka czy dramatycznej prawdy „Korkociagu” Piwowoskiego. Kto trzy godziny gładzenia o kiepskich romansach, złodziejskich kłótniach czy potrzebach fizjologicznych uzna za metaforę odrzucenia – będzie bił brawo. Kto umie kochać, wyjdzie stąd w przerwie jak nastolatka z krzesła obok mnie. Każdy ma taki azyl, na jaki sobie zasłużył.

Krystian Lupa „Azyl” (wg „Na dzień” Maksyma Gorkiego), opr. tekstu, reż. i scen. autora; muz. Jacek Ostaszewski, kostiumy Piotr Skiba. Premiera 26 stycznia we wrocławskim Teatrze Polskim